



Z XYMENĄ ZANIEWSKĄ-CHWEDCZUK I MARIUSZEM CHWEDCZUKIEM rozmawia Ewa Rosolak

NAJPIERW BYŁA SZTUKA, PÓŹNIEJ PROPAGANDA

Kiedy wyliczają pani kolejne prace: twórczyni scenografii do kilkuset spektakli Teatru Telewizji, kilku filmów baletowych, 35 klasycznych spektakli teatralnych i 15 operowych, to co pani myśli – jestem ikoną polskiej scenografii, czy – idźcie do diabła i dajcie mi spokój?

Cenię akcję. Zawsze stawiałam ją wyżej niż spokój. A ludzie mówią to, na co pozwalają im ich oko, pamięć, wyobraźnia i intelekt.

A kiedy pan słyszy, że żona jest historią kilku dekad scenografii, to wtedy?

M.Ch.: Wtedy myślę, że należy jej się takie określenie. Tak samo, jak miejsce w encyklopediach. Przecież dobre rzeczy robiła. Nawet bardzo dobre.

Podobno o osiągnięciach pani Xymeny dowiemy się wkrótce bardziej szczegółowo.

M.Ch.: Xymena napisała książkę o sobie, która teraz jest w opracowaniu. Mamy nadzieję, że ukaże się w grudniu tego roku. To będzie takie quasi-albumowe wydanie...

X.Z.: Będzie bardzo wiele ilustracji. Nie przesadziłam z ich ilością?

M.Ch.: Na pewno nie.

Dlaczego pani, absolwentka architektury na Politechnice Warszawskiej, nagle zajęła się modą i scenografią?

Scenografia wyniknęła z architektury. A moda z kontaktów ze wspaniałą panią Jadwigą Grabowską, pierwszą dyrektorką Mody Polskiej i osobą, o której myślę „chodząca kultura”. Robiłam u niej wystawy na Ordynackiej, potem projekty – żeby się w Warszawie utrzymać. To była prawdziwa przyjemność, kiedy mogłam z nią współpracować.

W końcu lat 50. ubiegłego wieku rozpoczęła pani pracę w TVP. To miała być przygoda, prestiżowy adres czy dobrze płatna praca?

Mąż Tuli Popławskiej, z którą znałyśmy się z Ordynackiej, zaprosił mnie do telewizji na rozmowę. Ale tak się niestety złożyło, że tego dnia wybrał wolność. I ja wylądowałam u jego sekretarki, Ady Kulińskiej...

I sekretarka okazała się pani dobrą wróżką?

Prawie. Była osobą niezwykle pracowitą i zakochaną w telewizji. I to ona zaangażowała się w moje zatrud-

nienie z całą swoją energią, a miała jej niewyczerpane zasoby. Z czasem została dyrektorem produkcji.

W wywiadach często pani powtarza, że polska telewizja za czasów Wiesława Gomułki była świątynią sztuki, a nie miejscem propagandy. Kiedyś powiedziała pani, że ówczesny I sekretarz KC PZPR zwyczajnie nie doceniał tej formy oddziaływania na obywateli. Po jakim czasie władza zmieniła ocenę szans telewizji jako „inżyniera dusz”?

Z dzisiejszego punktu widzenia brzmi to nierealnie, ale na początku rzeczywiście tak było. Później zwroty były liczne.

M.Ch.: Telewizja jest wszędzie narzędziem propagandy. Nie może być inaczej. Każdy rząd chce mieć w garści to medium, dlatego że jest ogólnie dostępne i otwarte dla wszystkich, a więc w sposób najprostszy wpływa na opinię publiczną, czyli pomaga w rządzeniu. Współczesna polska telewizja też jest narzędziem propagandy, tyle że lichym. Jeżeli przed laty za narzędzie propagandy można było uznać to, że każdego poniedziałku i każdego czwartku wyludniały się ulice polskich miast i wsi, żeby oglądać Holoubka czy obejrzeć spektakle

Wspiańskiego, Mickiewicza i diabli wiedzą, kogo jeszcze, to było to świetne narzędzie propagandy. A teraz oglądamy tylko seriale. I to jest jeszcze bardziej przebiegłe narzędzie propagandy niż wówczas, bo telewizja produkuje wyborców, producentów towarów i konsumentów towarów. Dzisiaj takie jest jej zadanie. Tamta sprawiała, że na wsi można było porozmawiać z mieszkańcem Kurpiowszczyzny na przykład o tym, kim jest Durenmatt.

Chyba jednak nie...

M.Ch.: Ależ tak, przecież przed przedstawieniem profesor Jerzy Koenig wyjaśniał każdemu, z czym będziemy mieć do czynienia i dlaczego to jest warte obejrzenia. A teraz?

Są przecież teatry poniedziałkowe, a przy tzw. premierach na widowni zasiada sam prezes TVP, Juliusz Braun.

M.Ch.: Okropne. Wprawdzie w poniedziałek zdarzają się interesujące spektakle TV, ale to są archiwalne nagrania, jak choćby ostatnio „Kolacja na cztery ręce” Kazia Kutza. To wspaniałe widowisko, tyle tylko, że sprzed 20 lat. Współcześnie nic tak znaczącego się nie dzieje.

Wiele mówiono o pani talencie i „plastycznym oku”, które potrafiło wszystko przetworzyć na telewizyjny obraz i plan. Jak pani wynalazła język telewizji?

Wstyd mi mówić to samej...

To niech będzie ten wstyd, ale jak pani do tego doszła?

Pamiętając o tym, że w sztuce najważniejszy jest kontrast. Robiłam ten język przez taki właśnie dobór środków, a scenografię traktowałam jak plakat. Sposobu nie znam. Taka się po prostu urodziłam.

A jak to się stało, że w Poznaniu urodziła się pani jako Xymena? Przecież w Wielkopolsce dziecko dostawało imię świętego, w dniu którego przyszło na świat.

Każda pierwsza córka w naszej rodzinie jest Xymeną. Taka tradycja, która wynika z tego, że jeden z moich przodków, z rodziny Wasilewskich, wyprawił się z Napoleonem do Hiszpanii i stamtąd przywiózł żonę – Xymenę. Musiał ją jednak zostawić u polskiej rodziny, by iść z Napoleonem na Moskwę. W tym czasie młoda Hiszpanka przeżyła się i zmarła. Kiedy nasz krewny wrócił z wyprawy na Rosję i dowiedział się, że żona nie żyje,

znał, że to wina rodziny, która źle ją pielęgnowała. Pobiegł do kościoła i tam wyklął każdą najstarszą córkę, która urodzi się w rodzinie, jeśli nie zostanie ochrzczona jako Xymena. Prosił Boga, by dziewczynka o innym imieniu zmarła dokładnie w tym wieku, w którym zmarła Xymena.

I uwierzyliście?

Nie od razu. Mimo klątwy, pierwszej córce, która się urodziła, dano imię Krystyna. Ale umarła w wieku Xymeny. Później już nikt nie chciał ryzykować.

Przez lata, bo do 1982 roku, była pani naczelnym scenografem TVP. Korytarze trzęsły się od powieści o pani znaczeniu, energii, pamiętliwości; wreszcie o karesach prezesa Włodzimierza Sokorskiego, na które niekiedy odpowiadała pani uśmiechem... Tak było?

Tzw. korytarze, a to od zawsze ważna w TVP instytucja, wiedziały, że miałam kolosalny wpływ na dobór ludzi oraz wybór i kształt przedstawień. I że przede wszystkim miałam dużą siłę przekonywania, bo to ja angażowałam albo nie. I to ja zwalniałam albo nie.

Współpracowała pani z wielkimi reżyserami. Z którymi najchętniej?

Z Adamem Hanuszkiewiczem. Dobrze się z nim rozumiałam. On był nadzwyczajny i dlatego „widzący”. Wtedy telewizja to było nawet tysiąc przedstawień rocznie – w programach regionalnych i w centralnej TVP. Fascynowali mnie ludzie, którzy prezentując to, co mieli w duszy, robili coś tak ogromnie ciekawego.

Czy dziś jest ktoś, o kim pani myśli: szkoda, że razem nie popracowaliśmy?

Nie myślę tymi kategoriami. Zawsze pracowałam z najlepszymi.

Jak się rozpoczęła pani współpraca z Mariuszem Chwędzikiem, od lat pani mężem?

On pracował w telewizji krakowskiej, a ja – w ramach objazdu ośrodków regionalnych – pojechałam i tam. Nosila wtedy olbrzymi czarny kapelusz. I właśnie ten „przeróżający kapelusz” zapamiętał Mariusz z naszego pierwszego spotkania.

Dlaczego nie podobał się panu ten kapelusz?

M. Ch.: Był bardzo ładny, ale za duży, jak na takie małe Sukienice.

X. Z.: Wczoraj – bo kompletnie nie mam głowy do dat – zadałam Mariuszowi pytanie: ile lat jesteśmy razem. A on bez wahania mówi: 46 albo 47. Kawał czasu. I jeszcze żartuje, że to ja zarządzałam, żeby był moim mężem.

Zrobili państwo tyle wspaniałych rzeczy. Czy istnieje wspólna ocena tego, co stworzyliście tak dobrze, że warto by jeszcze raz to powtórzyć?

M. Ch.: Robiliśmy naprawdę bardzo dobry teatr – i teatr telewizyjny, i opery, i teatr dramatyczny. Chciałoby się powtórzyć wiele z tych spektakli i jeszcze raz je obejrzeć. Po

prostu dlatego, że były one lepsze niż inne. Mieliśmy szczęście, że mogliśmy współpracować z Hanuszkiewiczem; mieliśmy szczęście do Janka Kulczyńskiego; mieliśmy bardzo dobrych partnerów zagranicznych – myślę głównie o reżyserach niemieckich i francuskich. Razem składało się to na spektakle, które sam bym znów chętnie zobaczył, żeby przypomnieć sobie, jak powinien wyglądać Teatr Telewizji albo teatr w ogóle. Kiedy przypominam sobie „Platonowa” w Teatrze Narodowym czy „Miesiąc na wsi” Xymeny, to wiem, że takich rzeczy już nie ma.

A dlaczego nie ma?

M. Ch.: Bo dzisiejsza rzeczywistość nie zadaje odbiorcy żadnego ważnego pytania. Woli, by niewykształcony wyborca szedł i głosował. Raz na Palikota, raz na Tuska; raz tak, raz siak – wszystko jedno. Współczesny telewidz ma głównie życzenia roszczeniowe. Przecież nie o to chodzi, żeby coś zrobić dla kraju, tylko raczej dla niego. Bo on nie chce niczego zrobić.

Nie za czarno widzi pan Polaków?

M. Ch.: Przecież jestem częścią tego narodu i wiem, że jestem taki sam okropny, jak oni. Tyle że miałem to szczęście, iż zostałem przyzwoicie wyedukowany w różnych przyzwoitych szkołach. A potem wszedłem w bardzo dobre towarzystwo artystyczne – wielkich reżyserów, aktorów, malarzy, poetów. Nie ma dziś takiego poety, jak choćby Gałczyński. A to był mój chleb codzienny. Siedziałem do kiosku, bo akurat w tym tygodniu „Przekrój” drukował w całości „Wita Stwosza” Gałczyńskiego... Dziś porobiło się coś okropnego – tamta poezja jest już nikomu niepotrzebna. Moi studenci krzywią się, kiedy proponuje, żeby poczytali Konstantego Ildefonsa czy Iwaszkiewicza. Mówią, że to bez sensu.

Kto za ten stan odpowiada?

M. Ch. Myślę, że szkoła.

Jak to jest być tyle lat małżeństwem artystów? To dobry pomysł na życie?

X. Z. Bardzo fajny. Ma się krytyka w domu i tematy do rozmowy.

A nie jest tak, że trwa wyścig, które z was jest lepsze?

X. Z.: Nie.

M. Ch.: Nie ma tak i nigdy nie było.

X. Z.: W jakiś sposób każde z nas jest obdarzone częścią małżonka. I przez to kształtuje się jedność w dwojgu. Ja jestem zachłanna – zwłaszcza na pracę. Mariusz wie, że przyznaję się do wszystkiego, jakbym to ja była tego autorem. Zamierzam to odkłamać.

M. Ch.: Po co? Po części tak było, skoro przez tyle lat siedzieliśmy przy jednym stole. Przecież po moim przyjeździe z Krakowa od razu zaczęliśmy razem pracować. I w pewnym momencie wytworzył się taki naturalny podział, wynikający z tego, że ja nie potrafię robić kostiumów. I nie lubię. Machnąłem więc na to ręką i zajmowałem się scenografią. Oczekiwałem od Xymeny, że jej kostiumy będą najlepsze z możliwych, a ona tego samego oczekiwała ode mnie. Jeżeli między nami były jakieś różnice poglądów, to brały się z obopólnego przekonania, że każde z nas mogło to zrobić lepiej. To tylko tyle. Natomiast elementu zawiści czy zwykłej zazdrości nie przypominam sobie.

Lubiła pani, jak w telewizji mówiono o pani caryca?

Nie wiedziałam, że tak o mnie mówili. Moja nieżyjąca już sękr-

tarka, Maryla Maciejko, trzymała mnie krótko.

To znaczy?

Przyjaźniłyśmy się i ona wiedziała, co robić, bym nie czuła się „carycą”.

Później przyszła tzw. caryca II, Nina Terentiew. Złoszczyła panią takie porównania?

Nina Terentiew była szalenie energiczna i miała do telewizji właściwy stosunek.

I tylko tyle?

Tyle.

Jak to jest, kiedy życie artystów spręga się z polityką? Przypominam w ten sposób państwu obecność w Komitecie popierającym Aleksandra Kwaśniewskiego w jego wyborach na urząd Prezydenta RP. Po co państwu była ta polityka?

X. Z.: To był jedyny sensowny kandydat. I to było interesujące.

M. Ch.: Trzeba było go wybrać. Był najlepszym z kandydatów. Dlatego bez cienia wahania przystaliśmy na propozycję szefowej jego komitetu, Danuty Waniek.

X. Z.: Czy źle pamiętam, czy to prawda, że podjąłeś decyzję w naszym imieniu, bo mnie wtedy nie było w kraju?

M. Ch.: To prawda, zadecydowałem wtedy za Xymenę, bo ona siedziała chyba w Madrycie. Postanowiłem, że oboje włączymy się w tę kampanię. I do dziś tego nie żałuję. To był świetny prezydent.

Zresztą, był to krótki epizod, bo jak Aleksander po 10 latach przestał być prezydentem, to wycofaliśmy się z tego interesu. Nie wiem nawet, czy nadal jesteśmy w SLD, ale pewnie nie, skoro nie umiemy być członkami tego typu zbiorowości.

Pan wykląda w Akademii Teatralnej im. Zelwerowicza w Warszawie. Lubi pan to?

X. Z.: Mariusz jest bardzo utalentowanym pedagogiem, a ja niestety nie. W gruncie rzeczy tej wąskiej dziedziny, której mogłam uczyć, po prostu nie ma. Zrezygnowałam ze szkoły teatralnej, uważając, że nie mam nic do powiedzenia.

M. Ch.: Xymena jest dla mnie zbyt łaskawa. Ale to prawda – moich studentów traktuję uczciwie i z pełnym respektem.

Ostatnio pani musi głównie odpoczywać. Proszę powiedzieć, co dziś organizuje państwa dzień?

M. Ch.: W dużej mierze tryb życia, na który Xymena jest skazana. Więc pomoc opiekunek i lekarzy. Ale Xymena nadal bardzo dużo rysuje.

X. Z.: Siadam przy stole i rysuję. To jest moja jedyna aktywność. I pociecha. Prawdę mówiąc, szalenie brakuje mi chodzenia. Jak na mój temperament to fakt, że nie chodzę, jest najokrutniejszą karą za moje grzechy.

A telewizja, radio, muzyka?

Słuchanie muzyki nie męczy mnie. Mariusz nauczył mnie wiele w sprawach kultury ogólnej. Sprawił, że mniej więcej jestem na bieżąco.

Tzw. korytarze, a to od zawsze ważna w TVP instytucja, wiedziały, że miałam kolosalny wpływ na dobór ludzi oraz wybór i kształt przedstawień. To ja zwalniałam albo nie.



Xymena zaniwska podczas realizacji programu.